

BYŁA NAJLEPSZĄ ASYSTENTKĄ, JAKĄ MIAŁ.
SZKODA, ŻE O TYM ZAPOMNIAŁ
I UPOKORZYŁ JĄ PRZED CAŁĄ FIRMĄ.

JEGO
asystentka

A. E. MURPHY



Tytuł oryginału

Becoming His Mistress

Copyright © 2019 by A.E. Murphy

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Lisiecka

Korekta:

Weronika Kucharczyk

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-393-4

A.E. MURPHY

**JEGO
ASYSTENTKA**

TŁUMACZENIE

MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2020

*PamPammy Shepherd, zawsze będą łączyć nas cikliwość
przy alkoholowych slushie,
Aladyn i okropne duety w łazience.*



PROLOG

Jego oczy i wszystkie ich niedoskonałości.

– Dzień dobry, panie Conti – mówię, wyciągając do niego rękę i przekręcam delikatnie dłoń tak, żeby mógł zobaczyć mój idealny manikiur. Robię go sama, to takie moje małe hobby. Uważam, że ładne, zadbane paznokcie dużo mówią o człowieku. Higiena jest przecież bardzo ważna. – Jestem Rose Sinclair.

Jego wielka dłoń pochłania moją, sprawiając, że czuję się bardzo krucha. Uścisk ma tak pewny i ciepły jak oczy.

Pan Ezra Conti, megaloman amerykańsko-włoskiego pochodzenia, żyje tylko po to, żeby wywoływać u ludzi uczucie kruchości. Ostatnie trzy tygodnie poświęciłam na uczenie się na pamięć jego biografii oraz roli, jaką pełnił w WhyTech. Znam więcej szczegółów z jego życia, interesów i rodziny, niż wiem o sobie.

Jednak to prawdopodobnie dlatego, że on ma więcej ciekawych spraw w życiu, rodzinie i interesach.

To on jest tym nieosiągalnym panem C.

Z tego, co wyczytałam, kobiety wręcz się na niego rzucają, pomimo jego stanu cywilnego. Kiedyś najbardziej pożądany kawaler w Rzymie, obecnie żonaty mężczyzna, oczarowany swoją małżonką już od dwunastu lat, mieszka w Los Angeles i nie wykazuje najmniejszego zainteresowania odpuszczeniem sobie zawodowych obowiązków.

Stwierdzenie, że w życiu wiele podróżował, byłoby niedopowiedzeniem.

To jeden z powodów, dla których chciałabym zostać częścią jego zespołu. *Podróże.*

Jego przystojne, szare oczy – z ciężkimi powiekami, zmrużone w sposób bardzo ostry i oceniający – mierzą mnie z góry na dół. To ogólne spojrzenie, nie podejrzliwe czy przeciągłe, i jestem z tego zadowolona. Wyglądam bardzo skromnie i to nie bez przyczyny.

Nie jestem tutaj, żeby wyglądać *gorąco*. Nie, żebym mogła. Nawet nie jestem pewna, czy potrafiłabym to zrobić. Jestem tutaj, żeby pracować. Cóż, jestem dopiero na rozmowie o pracę. Ale wiem, że ta posada jest moja, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. To praca stworzona dla mnie. Na liście obowiązków nie ma żadnej rzeczy, której nie umiałabym zrobić szybko i efektywnie.

– Miło panią poznać, pani Sinclair, ale muszę poinformować, że już obsadziłem to stanowisko.

Mrugam wolno, nadal trzymając jego dłoń w uścisku.

– Muszę pana poinformować, że podjął pan złą decyzję. – Puszczam jego dłoń i poprawiam okulary na nosie, świadoma, że to sprawia, iż moje oczy wyglądają na połowę mniejsze, ale noszę je od tak dawna, że przestałam przejmować się opinią innych. Bez okularów jestem kompletnie ślepa.

Śmieje się, a uśmiech nie schodzi z jego twarzy, kiedy mówi:

– Doprawdy?

Jego głos jest głęboki i szorstki, a zarazem łagodny. Dokładnie taki, jak przez telefon, kiedy po raz pierwszy dzwoniłam w sprawie tej posady jakiś miesiąc temu.

Odgarnia do tyłu włosy. Są świeżo umyte, ciemne, przycięte, nieco dłuższe niż na ostatnim oficjalnym zdjęciu. Jest gładko ogolony, tak schludny i zadbany, ma też czyste paznokcie. Widzę, dlaczego kobiety się na niego rzucają. Jego wygląd, głos, ewidentna dbałość o higienę i ten niesamowity śmiech. To mieszanka prowadząca do złamanego serca.

Na szczęście dla mnie, nie jest w moim typie, więc nie będę spędzać dni, pracując dla mężczyzny, który mnie pociąga, ze świadomością, że nigdy nie mógłby być mój.

– Nie ma nikogo lepszego do tej pracy niż ja – oznajmiam po prostu, bo wiem, że to prawda. Mam dopiero dwadzieścia trzy lata, ale pracowałam, by dostać taką posadę, odkąd skończyłam piętnaście. – Nikogo.

– Doprawdy? – powtarza i dostrzegam, że uważa mnie za uroczą w sposób, w jaki uroczę bywają szczenięta. – Mężczyzna, którego zatrudniłem, ma już piętnaście lat doświadczenia. Ty nie masz żadnego. Żadnych koneksji, powiązań ze światem biznesu. Czy nie lepiej byłoby, gdybyś starała się o posadę na mniej wymagającym stanowisku? – Macha swoją wielką dłoń w powietrzu i nadal uśmiecha się zyczliwie.

– Możliwe, ale jestem uprzejma i bardzo przekonująca, nawiązywanie nowych znajomości nie sprawia mi problemów. Nigdy się nie spóźniam. Nie choruję. Mam zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, nie ukrywam, ale nauczyłam się wykorzystywać je w najlepszy możliwy sposób. Jestem świetna w liczbach...

– Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne? Jakiego rodzaju? – pyta. Zazwyczaj wszyscy się tym interesują. Jest wiele błędnych założeń w kwestii tych zaburzeń i obawiam się, że to mogłoby mnie wykluczyć, ale sposób, w jaki radzi sobie z tym mój mózg, tylko ułatwia mi pracę. Dlatego zawsze warto o tym wspomnieć.

– Jeśli mnie pan zatrudni, zobaczy pan, co mam na myśli. – Uśmiecham się do niego. Muszę patrzeć w górę, bo jest ode mnie wyższy o co najmniej trzydzieści centymetrów.

– Potrzebuję jakichś szczegółów.

– Cóż, jestem zorganizowana, nie potrafię zostawić niedokończonego zadania, nie może ono też być wykonane mniej niż poprawnie, co nie znaczy, że potrzebuję więcej czasu, nauczyłam się pracować bardzo wydajnie. – Uśmiecham się w nadziei,

że wyglądam na pewną siebie. – Potrafię wykonywać wiele czynności na raz. I... mam fotograficzną pamięć.

Unosi brwi.

– Czyżby?

– Tak. Naprawdę. A to oznacza, że zawsze będzie pan miał pod ręką kogoś, kto podrzuci statystyki sprzedaży i temu podobne. Wiem, że dużo pan tego robi, co wiąże się z kontrolowaniem sektora sprzedażowego. – Przeszczępnę na drugą nogę i podnoszę rękę. – Może mnie pan sprawdzić.

– W jakiej kwestii?

– Jakiś dokument. Proszę mi pokazać, rzucę okiem i zapamiętam co do słowa. – Jestem z tego bardzo dumna. Jestem jedną z nielicznych osób obdarzonych podobnym talentem. – Niczego nie zapominam.

Śmieje się z tego. Ma bardzo przyjemny śmiech.

– Jestem pewien, że długo żywi pani urazę.

– Nie mam czasu na urazy, panie Conti – żartuję. – Zbyt ciężko pracuję.

Wciąż się uśmiechając, wyjmuje kartkę papieru z dna stosu leżącego na jego biurku.

– Na wypadek, gdyby pani oszukiwała i już zdążyła przeczytać.

Śmieje się nerwowo i patrzę na kartkę, którą mi pokazał. To artykuł o jego firmie, opowiada o ich wyśmienitych postępkach technologicznych w dziedzinie systemów solarnych. Przyglądam się, skanuję, po czym znowu spoglądam na mężczyznę.

– Już? – pyta, nadal z uniesionymi brwiami.

Przytakuję i odwracam się.

– Co pani robi?

– Chcę pokazać, że nie oszukuję. Odczytam dla pana wszystko słowo w słowo.

– To może być interesujące.

Odchrząkuję i zaczynam.

– Rok dwa tysiące dziewiętnasty obfitował w kroki milowe w dziedzinie nowych rozwiązań dotyczących technologii napędzanych energią słoneczną. Tutaj, w WhyTech...

Czytam z pamięci i nie przestaję, aż słyszę, że pan Conti klaszcze powoli.

– Niesamowite – mówi, będąc wyraźnie pod wrażeniem. – Ale zapamiętywanie treści dokumentów nie zapewni pani stanowiska mojej osobistej asystentki. Staram się być sprawiedliwy, zwłaszcza dla nowych i młodych ludzi, zaraz po college’u, ale potrzebuję kogoś z doświadczeniem i znajomościami, i to na już.

Nie przeklinam zbyt często, ale w tej chwili mam na to wielką ochotę.

Jest kiepsko.

Muszę go jakoś przekonać.

Myśl, Rose. Myśl.

– Rozumiem. Naprawdę. Ale... proszę dać mi dwa tygodnie. Tylko dwa – błagam, próbując wyglądać tak uroczo i ujmująco, jak to możliwe. – A jeśli moje doskonałe umiejętności w obszarze pana zainteresowań, zajmowaniu się firmą i pańskim życiem, nie zaimponują panu, odejdę bez dyskusji. Nawet nie musi mi pan płacić. Przeczytał pan moje CV i coś w nim przyciągnęło pana uwagę na tyle, że zaprosił mnie pan na rozmowę. Wiem, że doświadczenie jest kluczowe, ale obiecuję, że nawet pan nie zauważy, że nigdy wcześniej nie pracowałam dla kogoś takiego jak pan. – Kiedy zaczyna się wahać, obdarzam go moim najjaśniejszym uśmiechem. – Wspominałam, że byłam adoptowana? Wychowywałam się w biedzie, powstałam z popiołów moich splekanych rodziców, sama opłacałam studia...

– Dobrze, dobrze – odpowiada, śmiejąc się i unosząc dłoń. – Dam ci tydzień, żeby mnie zachwycić i pokazać, że jesteś lepszym wyborem niż Fisk.

– Ach! – Strzelam palcami. – Fisk oznacza rybę, a Rose to piękny kwiat. Już wygrywam.

Śmieje się i ogląda mnie z góry na dół, ponownie nie ocenia, po prostu obserwuje mnie i mój język ciała.

– Możesz zacząć od jutra, bądź o siódmej, przygotuj mi kawę, notatki znajdują się na biurku mojej poprzedniej asystentki.

– Przygotuję lepsze – odpowiadam, raz jeszcze poprawiając okulary na nosie. – Zacznę od razu.

– Cóż – komentuje, potrząsając głową z rozbawieniem. – Miałaś rację w jednej kwestii.

– Jakiej?

– Jesteś bardzo przekonująca.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dał mi szansę, której nie dał nikt inny.

Sześć miesięcy i dwa dni później

– Dzień dobry, pani Conti – wołam, manewrując przy drzwiach i zamykając je nogą.

Ich dom jest wielki, otwarte lobby z jednymi z tych szerokich, kręconych schodów prowadzących do otwartej przestrzeni powyżej. Ściany utrzymane są w odcieniach beżu i złota, zdobią je eleganckie dzieła sztuki i ornamenty umieszczone we wszystkich właściwych miejscach.

– Ratujesz mi życie – odpowiada głośno, witając mnie cała pokryta mąką i dżemem. Jej strój nie wygląda na odpowiedni do gotowania i taka czynność w ogóle nie jest do niej podobna. Nigdy nie widziałam, żeby nie miała ułożonych włosów.

Zaciskam usta, żeby się nie roześmiać.

– Czy pani piecze, pani Conti?

– Absolutnie nie. Maria próbuje, ale włożyła zbyt dużo składników do miksera. Kuchnia to dopiero niezły widok. Nie miałam jeszcze czasu wziąć prysznic. – Bierze torbę z moich rąk, a ja lawiruję, żeby nie upuścić akt, o które prosił pan Conti.

Próbuję się nie śmiać. Maria, ich dziesięcioletnia córka, jest delikatnie mówiąc, dzika, ale nie w znaczeniu niegrzeczna. Po prostu nie istnieją dla niej żadne granice. Chodzi, gdzie chce, i robi, co i kiedy chce.

– To żaden problem, pani Conti – odpowiadam. – Tylko odłóż to w biurze pana Contiego.

– Jasne, wejdz na górę. – Odwraca się, przypominając mi pierwszy dzień, kiedy ją poznałam.

Widziałam maile, które wysyłała mężowi, o zatrudnieniu jakiejś dziwki do zajęcia się jego biurem i chodzenia za nim jak cień. Była przerażona, że będę z nim sypiać, ale kiedy mnie zobaczyła, obdarzyła pojedynczym spojrzeniem, odwróciła się i odeszła. Nigdy więcej nie dostał takiego maila.

Nie chodzi o to, że jestem brzydka czy coś w tym stylu, po prostu umyślnie nie pozwalam sobie wyglądać *niesamowicie*, żeby mogła zająć się pracą, bez zbędnych spojrzeń obcych ludzi. Doceniam kobiety, które potrafią wyglądać seksownie i pracować, ja po prostu nie mam takich jaj, by radzić sobie z krytyką. Chcę tylko być zostawiona w spokoju i robić to, co umiem najlepiej. Być niewidzialną i ciężko pracować.

Poza tym nigdy nie przespałabym się z panem C. Oczywiście jest uroczy, ale jest też żonaty, wierny swojej małżonce, a ponadto nie potrzebuję, żeby takie sytuacje zakłócały mój grafik. Wszystko w moim życiu ma swoje miejsce, a miejsce pana C jest przy żonie i dziecku, oraz w roli mojego szefa.

Jestem szczęśliwa, robiąc to, co robię. Mogę podróżować. Dostałam własny samochód. Otrzymuję za swoją pracę znakomite wynagrodzenie. Nigdy nie schrzaniłabym tego, pieprzając się z szefem.

Do tego... on jest stary.

Ma trzydzieści siedem lat. To przepaść w postaci trzynastu lat i pięciu miesięcy różnicy. Okropieństwo.

Jednak nie mogę zaprzeczyć, że czasem lubię popatrzeć na niego od tyłu. Ma bardzo ładne ramiona.

Och.

Ruszam na górę, przyciskając do piersi segregatory i akta. Telefon zaczyna dzwonić w mojej kieszeni. Z odrobiną zręczności udaje mi się odebrać i wcisnąć go między ramię a ucho.

– Rose Sinclair, w czym mogę pomóc?

– Stara, proszę, powiedz, że nie harujesz nawet w sobotę. Nie odbierasz moich wiadomości.

Śmieję się, zadowolona, że słyszę głos mojej najbliższej przyjaciółki i zatroskanej, również posiadającej zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, kobiety imieniem Laurie. Jako nastolatki poznałyśmy się podczas terapii grupowej, która miała pomóc nam radzić sobie z naszymi lękami i strachem przed porzuceniem. Jest ode mnie bardziej ekscentryczna, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Ma również łagodną postać zespołu Tourette’a, a jej ulubionym wyrażeniem, które przy mnie powtarza, jest pani Pinda. Odnosi się ono do żony mojego szefa.

Nie chodzi o to, że nie lubimy pani Conti, ona jest... hmm... dosyć *przyjemną* osobą. Po prostu zachowuje się chłodno i bezosobowo w kontaktach z personelem. Wymaga perfekcji, a sposób, w jaki do nas mówi, kiedy tego nie uzyska, jest co najmniej szokujący. Często używa słów takich jak idiota czy kretyń.

Jednak pan C szaleje na jej punkcie. Bez przerwy posyła jej prezenty i dotyka jej, kiedy są razem. To urocze. Jest zupełnie inna przy nim niż przy personelu, przynajmniej z tego, co zauważyłam.

– Mam zajęte ręce. Przyjdę, obiecuję. Tylko żadnych randek w ciemno, bo cię zamorduję. – Nigdy nie lubiłam randkować. Faceci zaburzają mój grafik i zajmują cały wolny czas.

– Obiecuję. Ta sobota należy tylko do nas, skarbie. PIEPRZYĆ WŁĄCZNIK!

Uśmiecham się pod nosem na jej tik.

– KLOSZ LAMPY CIĄGLE CIĘ OBSERWUJE!

– Kupowałaś rzeczy do domu?

– Tak, zapomniałam dziś rano wziąć leków i nie miałam czasu na moje ćwiczenia. Jestem trochę podenerwowana. KIJ CI W TYŁEK!

Śmieję się tak bardzo, że prawie upuszczam wszystko, co mam w rękach.

– Muszę lecieć. Kocham cię, skarbie.

– Ja ciebie bardziej – odpowiada, kiedy, używając stopy, otwieram drzwi gabinetu pana C. Słyszę kliknięcie zamka.

– To tylko ja – obwieszczam.

– Jesteś, dokładnie na czas, jak zawsze – oznajmia pan C, brzmiąc w swój normalny, znudzony sposób. Jeszcze nigdy nie wściekał się bezpośrednio na mnie i jestem z tego zadowolona. Widziałam, jak złościł się na innych i nie było to zabawne. Jest wyjątkowo onieśmielający.

Okraża biurko, żeby pomóc mi z pakunkiem, przyglądając ogromną dłonią gęste, ciemnobrązowe włosy. Uśmiech wypływa na jego twarz, ukazując białe zęby na tle różowych warg i gładko ogolonych policzków.

Pachnie cytrusami. Używa wody po goleniu, którą pomogłam wybrać Marii na jego urodziny w marcu. Jest świetna.

– Wszystko gra?

– Wyprzedzam grafik, jak zawsze, panie C – odpowiadam radośnie. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

Chciał, żebym mówiła do niego Ezra, ale po prostu nie mogę, zwłaszcza że jego żona chce, żebym zwracała się do niej pani Conti, w każdej sytuacji. Dziwnie byłoby zbliżyć się tak do niego, a do niej nie. Nie przeszkadza mi to. Doszliśmy do porozumienia, że będę do niego mówić pan C. Dobrze rozwiązanie dla każdej ze stron.

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Dziękuję, że przyniosłaś to wszystko – dodaje z ogromną wdzięcznością. Jest zupełnym przeciwieństwem żony. Traktuje personel z szacunkiem i uprzejmie... przynajmniej kiedy właściwie wykonujemy swoje obowiązki. Jednak nie spoufala się. Przez sześć miesięcy wspólnej pracy, w tym również podróży, zaledwie kilka razy jedliśmy w tym samym miejscu, a nawet wtedy przez cały czas patrzył

w telefon lub komputer. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek dłużej rozmawiali. – Jak długo razem pracujemy?

– Sześć miesięcy i dwa dni.

– Brałaś kiedyś wolny dzień?

Widzicie? Nie poświęca mi uwagi poza pracą. Potrzęsam głową.

– Z przyczyn osobistych, nie. Ale obowiązkowe dni wolne, tak.

Siada za biurkiem i przygląda mi się uważnie.

– Powinnaś wyznaczyć termin urlopu.

– Nie mam niczego w planach – odpowiadam po prostu.

– Więc zaplanuj coś i wróć do mnie z konkretnymi.

Waham się.

– Ale wtedy będzie pan musiał zatrudnić kogoś, żeby przejął moje obowiązki, a on zrobi bałagan na moim biurku, w kalendarzu i...

Obdarza mnie spojrzeniem, które pokazuje, że na mnie już czas, po czym mówi:

– Jestem teraz bardzo zajęty, Rose.

– Jasne. – Zostałam odprawiona. To irytujące.

Kieruję się na dół, z pustymi rękami. Czuję się nieco rozdrażniona, co oznacza, że mogę się spodziewać wizyty *cioteczki*, bo inaczej nigdy nie jestem rozdrażniona.

Po prostu nie podoba mi się myśl, że ktoś mógłby spieprzyć moją pracę, a wiem, że tak się stanie.

– ROSE! – krzyczy Maria, kiedy docieram do drzwi frontowych, gotowa, by wymknąć się po cichu. Ten dzieciak ma słuch jak nietoperz. – Rose! Czekaj!

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć, całą pokrytą mąką, olejem, kolorowymi płatkami... i nie wiem, czym jeszcze.

– Hej, mała – mówię, klepiąc jedyne czyste miejsce na jej głowie. – Wyglądasz, jakbyś świetnie się bawiła.

– Nie możesz jeszcze iść. Coś zrobiłam. – Wyciąga rękę, by chwycić mój nadgarstek swoimi małymi, lepkimi palcami, ale rezygnuje. Ostatnio, kiedy to zrobiła, musiałam myć ręce trzy-

dzieści sześć razy. Bo sześć razy sześć. Potem bolały mnie dłonie. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko brudzeniu się, ale nie lubię lepkich rzeczy albo... Okej, jestem totalnie przeciwna widocznemu brudowi, zwłaszcza lepkim i tłustym rzeczom, ale teraz mam to już pod kontrolą. – Chodź.

Podążam za nią w stronę kuchni, już czując nadchodzący atak paniki na myśl o tym, co mogę tam zastać.

To coś gorszego niż bałagan... rzeczy są po prostu *wszędzie*. A to naprawdę wielka kuchnia.

– O mój Boże – szepczę, czując przyspieszone bicie serca, kiedy przechodzę ponad kupką mąki i prawie przewracam się na kałuży z galaretki. W ostatniej chwili chwytam blat, a moje palce natrafiają na jakąś breję.

– Ojej, wszystko w porządku? – pyta Maria, kiedy uspokajam oddech. – Przepraszam, nie sądziłam, że jest tak źle. Tatuś mnie zabije. Będziesz płakać?

– Nie – kłamię. W zasadzie mogłabym. – Co takiego chciałaś mi pokazać?

Rusza do wyspy kuchennej, gdzie czeka już sprzątaczką z wiadrem pełnym detergentów. Wygląda na równie bliską łez co ja.

Obdarzam ją uśmiechem, który prawdopodobnie wygląda bardziej jak grymas i powracam wzrokiem do dziecka, które podchodzi do mnie z ciastem w dłoniach. Jest wielkie, jakby okrągłe, pokryte tęczowym lukrem, jadalnym brokatem i posypką. A na samym środku znajduje się moje imię. Z litery E wystaje pojedyncza świeczka.

– Zrobiłam ci tort urodzinowy – oświadcza Maria, wyglądając na bardzo z siebie dumną. Dołeczek w jej podbródku pogłębia się przy promiennym uśmiechu. – Margot pomogła.

Margot to pokojówka. Nie rozmawiamy ze sobą, bo nigdy się nie widzimy, więc fakt, że przerwała pracę, by pomóc tej dzieściolatce przygotować coś dla mnie, jest naprawdę uroczy.

– Nikt nigdy nie zrobił dla mnie tortu. – Oddycham głęboko, próbując powstrzymać łzy.

Wychowywałam się w coraz to nowych rodzinach zastępczych i oczywiście dostawałam torty urodzinowe, ale nigdy własnej roboty.

Łzy płyną mi po policzkach, kiedy biorę tort z rąk brązowo-włosego aniołka i zdmuchuję świeczkę.

– Pomyślałaś życzenie? – pyta, a ja przytakuję, wciąż płacząc.

– Czego sobie życzyłaś?

– Żeby pewnego dnia mieć małą dziewczynkę, która będzie dokładnie taka, jak ty – odpowiadam, kucając, żeby ją przytulić. Obejmuje mnie za szyję, sprawiając, że prawie się przewracamy. – Bardzo ci dziękuję, Mario. To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam.

Wstając, nie zwracam uwagi na to, że jestem pokryta mąką i czymkolwiek innym. Przepęłniają mnie emocje. Biorę nóż i kroję po kawałku tortu dla siebie, Marii i Margot. Jest naprawdę pyszny. Wilgotny, maślany i słodki. Mogłabym zjeść cały na raz, ale nie chcę być zachłanna.

– Może zanieśiesz kawałek tacie, a potem przyjdiesz pomóc nam w sprzątanii? – sugeruję, a wielkie, szare oczy Marii rozbłyskują. Nakładam kawałek na talerzyk i już jej nie ma, choć uważnie pilnuje ciasta przy każdym kroku. Wtedy patrzę na Margot.

– Jak to się właściwie stało?

Kiedy jęczy w odpowiedzi, chwytam szmatkę ze zlewu.

– Nie martw się, poradzimy sobie.

Zaczynamy od blatów, myjemy je i wkładamy naczynia do zmywarki. Większe układamy w zlewie i zostawiamy na później.

– Ile tortów zrobiła?

Margot się śmieje. Nie mówi wiele. W zasadzie zastanawiam się, czy w ogóle potrafi mówić, czy po prostu jest nieśmiała.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że są twoje urodziny? – Głos pana C rozbrzmiewa w pomieszczeniu, kiedy mężczyzna wchodzi do kuchni przez te same drzwi co ja. Staje w miejscu, by obejrzeć całą scenę, zupełnie jak ja. – Pieprzony Jezu... MARIA!

– Nie – proszę, wycierając dłonie w brudne spodnie. Ogląda mnie z góry na dół, osłupiały. – Nie chciała nabałaganić.

– Wszystko posprzątam, tatusiu – mówi Maria, wywracając na niego oczami, jakby przesadzał z reakcją. Nie przesadza. – Margot i Rose pomagają.

– Nigdy więcej nie rób niczego w kuchni bez nadzoru mamy albo mnie – mówi poważnie, a dziewczynka przytakuje, niewzruszona jego gniewem.

– Mojego – wtrącam łagodnie. – Bez nadzoru mamy albo mojego.

Mruga, patrząc na mnie. Jego szare oczy są jak chmury burzowe, które zasłaniają słońce.

– Czy ty właśnie mnie poprawiłaś?

– Nie chciałam, żeby Maria podłapała niewłaściwy sposób mówienia – odpowiadam, kuląc się w sobie. – To taki... tik nerwowy.

Mruczy jakieś przekleństwo po włosku, najpewniej w moim kierunku, i zabiera gąbkę z mojej dłoni. Jestem zaskoczona, że się angażuje i pomaga nam sprzątać kuchnię.

– Nic nie będziesz robić – oznajmia mi tak poważnie, jak swojej córce. – To nie należy do twoich obowiązków i są twoje urodziny. Nie masz żadnych planów? Z rodziną albo przyjaciółmi?

Potrząsam głową.

– Żadnej rodziny, pamięta pan? Ale w sobotę wieczorem wychodzę z przyjaciółką, więc nie jestem kompletnie beznadziejnym przypadkiem.

Wzdycha, chwyta mnie za ramię, jego dłoń jest mokra od gąbki, i wyprowadza z kuchni.

- Idź do domu, zrób coś... innego niż praca.
- Zostaję wyciągnięta za drzwi, ale jeszcze wołam przez ramię:
- To najlepszy tort na świecie, Mario.
- Juhuu! – słyszę jej krzyki gdzieś z tyłu.



ROZDZIAŁ DRUGI

Jak bardzo kocha swoją córkę.

Wiem, że nie powinnam, ale wzięłam prysznic dwa razy. Nie miałam wyboru. Mój mózg mnie zmusił. To był jedyny sposób, żeby pozbyć się mąki i galaretki, których już tam nie było.

Moje włosy pachną teraz wspaniale i są cudowne w dotyku. Mają ciepły, prawie naturalny odcień brązu. Używam oczywiście czerwonych tonerów i tego typu rzeczy, żeby utrzymać żywy kolor.

Splotłam je w warkocz, również dwukrotnie i zwinęłam się w kłębek na kanapie. Oglądam *Bumblebee*. Uwielbiam filmy akcji, co jest w sumie dość zabawne, bo na ekranie zawsze jest niezły bałagan. Odłamki latające wkoło i takie tam.

Jestem akurat w momencie, kiedy ona właśnie go odkryła, gdy słyszę brzęczenie powiadamiające, że ktoś stoi w wejściu do budynku i chce się ze mną zobaczyć.

Wciskam guzik i przytrzymuję.

– Halo?

– To JAAAA! – krzyczy Maria. – I mój tata.

– Możesz przestać wrzeszczeć? – pyta swoją córkę pan C, kiedy z moich ust wrywa się paniczne i bezgłośnie: *O MÓJ BOŻE!*

– Zapomniałam o czymś? Mam zaopiekować się małą?

– Nie, przyjechaliśmy świętować twoje urodziny – odpowiada Maria. – Możemy wejść?

Moje usta otwierają się i zamykają, kiedy rozglądam się po mieszkaniu. Wszystko jest czyste. Zawsze jest. Ale coś może nie być.

– Jasne – mówię i wciskam drugi guzik, który otwiera drzwi wejściowe. – To jedyne drzwi na tym piętrze, po lewej stronie schodów.

Słyszę brzęczenie i ruszam, żeby sprawdzić, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Nieczęsto mam gości, nie potrafię się przy nich zrelaksować, a to przecież mój szef... Przy nim nigdy nie zdołam się odprężyć. Nie słyszałam pani Conti. Mam szczerą nadzieję, że jej nie ma.

Robię dwanaście szybkich kroków, bo sześć plus sześć, i otwieram drzwi, kiedy słyszę, że głośne paplanie Marii zbliża się coraz bardziej.

– Jestem w piżamie – mówię od wejścia. Moja piżama jest workowata i w szkocką kratę, którą uwielbiam.

– Ekstra! – Ekscytacja Marii szybko blednie, kiedy widzi, co mam na sobie. – To chłopacka piżama.

Pan C wygląda tak nie na miejscu, jak ja się czuję, stojąc w drzwiach, które wciąż blokuje. Jego wargi wykrzywiają się, kiedy obserwuje mój dobór stroju nocnego.

– Twojego chłopaka?

Potrząsam głową i odpowiadam:

– Nie. Kupiłam ją na wyprzedazy w Macy's, w sekcji męskiej. Jest taka miękka. Jak mogłam się powstrzymać?

Wyciągam do niego rękę, a on poklepuje lekko materiał i mamrocze niezręcznie:

– Miłe.

Co się z nim dzieje?

Poprawiam okulary i odsuwam się od drzwi.

– Proszę, wejdźcie. Czujcie się jak u siebie.

– Twoje mieszkanie jest takie małe – mówi Maria z dziecięcą niewinnością.

– Podoba mi się, że jest małe. Mieszkam tu sama.

Zrzuca buty i wskakuje na moją kanapę.

– Chcemy zabrać cię na kolację, ale najpierw musisz się ubrać.

Patrę na pana C, szukając potwierdzenia, ale on ogląda moje dyplomy wiszące na ścianie. W ciemnych ramach znajduje się dyplom ukończenia studiów, a w pozostałych są ukończone projekty.

– Chyba że masz inne plany? – pyta, wciąż przeglądając mój dobytek z brakiem zainteresowania wypisanym na twarzy.

– Nie, ale...

– Więc ubierz się, poczekamy – nakazuje, używając tego samego tonu, co w pracy. Pewny i dosadny.

Po sześciu miesiącach powinnam już się do niego przyzwyczaić, ale wciąż sprawia, że jestem podenerwowana.

– Cóż, w zasadzie... – Przygryzam wargę. – Już zamówiłam chińszczyznę. Mają najlepszą kaczkę na świecie.

Kłaska językiem o podniebienie.

– Za późno, żeby odwołać?

– Zdecydowanie, ale zamówiłam dużo. Wystarczy dla nas wszystkich. Chcecie zostać i się przyłączyć?

Jeszcze raz rozgląda się po moim mieszkaniu. Chciałabym wiedzieć, co myśli. Wtedy zrzuca buty, zdejmuje marynarkę, siada na kanapie i pyta:

– Co oglądasz?

Czy to źle, jeśli miałam nadzieję, że odmówi, podziękuję i wyjdzie?

To bardzo dziwne.

– *Bumblebee*.

– Jeszcze tego nie widziałem – stwierdza i włącza film od nowa.

– Wino, whisky, woda? – pytam, ruszając w stronę małego aneksu kuchennego.

– Whisky – odpowiada.

– Dla mnie też – żartuje Maria.

Pokazuję jej język i nalewam napoje. Wlewam sobie whisky na dwa palce i dodaję odrobinę wody. Do jęgo szklanki wrzucam lód

i podaję mu czystą. Przynoszę Marii napój winogronowy, który kupuję na wizyty Laurie. Uwielbia słodkie napoje. Obie je lubią.

– Dziękuję. Przyniósłbym coś, gdybym wiedział, że zostaniemy w domu.

– Właśnie dlatego wynaleziono telefony – rzucam żartobliwie, siadając na moim ulubionym, rozkładanym fotelu, i podciągając stopy pod pupę. Trzymam szklanę i stukam paznokciami w bok. Wiem, że drażni go, kiedy to robię, ale to mój dom i moje zasady.

Jednak i tak rzuca mi poirytowane spojrzenie, a ja po prostu uśmiecham się, uśmiecham i uśmiecham.

Maria spaceruje przez chwilę po moim mieszkaniu, ogląda ozdoby, ale niczego nie dotyka. Jest dobrze tak, jak jest. Cóż, nazywam to mieszkaniem, ale tak naprawdę to dom podzielony na dwie części. Dzielę drzwi wejściowe z sąsiadką, ale drugie mieszkanie znajduje się piętro wyżej, więc rzadko ją widuję. Sama mieszkam na parterze.

Sączę whisky z wodą w niezręcznej ciszy. Pan C sączy swoją whisky we własnej niezręcznej ciszy. Film gra, ale nikt go nie ogląda.

– Może w coś zagramy? – proponuję, przygryzając kącik ust. – Mam karty. Możemy zagrać w *go fish*¹.

– TAK! – woła Maria.

– Dlaczego nie? – mruczy pan C, odkładając telefon po tym, jak sprawdził go po raz setny.

Siadam ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, przysuwając się do miejsca zajętego przez pana C, bo Maria zajęła moje na fotelu. Nie mam nic przeciwko, jest gościem i wyszłabym na zołzę, gdybym poprosiła ją, żeby się przesiadła.

Rozdajemy karty i rozgrywamy dwie rundy, zanim przyjeżdża jedzenie. Pan C odbiera je, mrużąc coś o tym, jak jestem nie-

¹ Gra karciana dla dwóch lub więcej osób. Gracze mają kompletować pary, zabierając karty przeciwnikom albo „wyławiając z oceanu”, czyli pozostałych kart z talii. Stąd nazwa *go fish* (idź łowić) – przyp. tłum.

przyzwoita, chociaż moje ciało jest prawdopodobnie obleczone większą ilością materiału, niż mam w domu pościeli.

Płaci za zamówienie i odmawia przyjęcia moich pieniędzy, kiedy je oferuję. To urocze, ale zawsze tak robi, kiedy jemy razem. Pieniądze nic dla niego nie znaczą.

Wyjmuję talerze i kładę je na stole, dolewam whisky, a pan C rozkłada potrawy.

– Naprawdę zamówiłaś dużo jedzenia – komentuje po cichu, a jego wargi wyginają się w uśmiechu.

– Zazwyczaj zostawiam część i zjadam na śniadanie.

– To okropne.

– E tam. Co kto lubi.

– Wiedziałaś, że zimny ryż ma w sobie więcej bakterii niż jakiegokolwiek inne jedzenie? – pyta Maria, a ja odnotowuję w pamięci, by później sprawdzić ten fakt.

– Dzieciaki wiedzą takie rzeczy – mówię, sącząc whisky.

Nadal jest tak totalnie niezręcznie, nawet po dwóch nudnych rundach *go fish*. Pan C po prostu nie ma charakteru do gier, a może nie ma między nami żadnej chemii. I nie myślę o chemii w sensie romantycznym, ale ogólnym. Przykładowo, gdybym siedziała tu teraz z Laurie, śmiałybyśmy się tak bardzo, że nasze twarze pokrywałyby łzy i smarki.

Obrzydliwy widok, ale taki prawdziwy.

Jemy w ciszy, wsłuchując się w tyradę Marii o czymś związanym z romansami i cywilizacją Majów. Nie wiedziałam, że te dwie kwestie łączą się z sobą, ale widocznie tak jest. I kosmici. Oni również są jakoś z tym powiązani.

Kończymy kolację, a ja zaczynam sprzątać talerze. Pan C pomaga, zbiera rzeczy ze stołu i wynosi śmieci do zsypu w korytarzu. Prawie kończę, kiedy wraca i uśmiecha się do mnie. *Nadal jest niezręcznie.*

Cholera, chciałabym, żeby ten wieczór już się skończył.

Maria piszczy radośnie, trzymając w dłoni mikrofon podłączony do telewizora. Oboje podskakujemy na jej nagły pisk, mokre dłonie przyciskam do serca, a pan C patrzy na mnie i wywraca oczami, uśmiechając się z rozbawieniem.

– OMG, masz *Sing IT!* – Naprawdę powiedziała O.M.G., zamiast o mój Boże, jak reszta nas, przegrywów.

– Mam – odpowiadam.

– Śpiewasz? – pyta pan C, a niedowierzenie odmienia jego przystojną twarz. Naprawdę bardzo przyjemnie się na niego patrzy. Nie, żebym miała obsesję czy coś.

Porównałabym to z pójściem do muzeum i oglądaniem ładnego dzieła sztuki. Wspaniale jest popatrzeć od czasu do czasu, ale nie chciałabym mieć go w swoim mieszkaniu, w zasięgu ręki.

– Nie – mówię, używając tego samego tonu, jakbym mówiła tak, a on śmieje się pod nosem.

Ha. Rozśmieszyłam go.

Dokańczam whisky, bo już wiem, że Maria zmusi mnie do śpiewania razem z nią. Podłącza oba mikrofony i zaczyna przeglądać utwory.

Potrzebuję więcej alkoholu.

Nalewam sobie na trzy palce i uśmiecham się, kiedy szklanka pana C, wraz z jego dłonią i ręką, pojawia się nad moim ramieniem. Jemu również dolewam.

Rozbrzmiewają piosenki Disneya... pieprzyć moje życie.



Jakieś piętnaście minut i kolejną whisky później.

– WSPANIAŁY ŚWIAT! – śpiewa Maria ile sił w płucach.

– Przed tobą go maluję tu! – kontynuuję, nieco bełkocząc, kołyszę się lekko na swoim miejscu i ignoruję pana C, który śmieje się i opada na bok, na kanapę.

– CZY KTOŚ SIĘ ZNAJDZIE, CO NIE WIERZY W TO...

- Ani w nic innego!
- To nie te słowa. – Teraz już śmieje się tak bardzo, że ma zacisnięte powieki.
- LUB WIERZYĆ NAM ZABRONI?
- Wspaniały świat...²
- Już to śpiewałaś! – Pan C siada i wyciera oczy rękawem, nadal krztusząc się śmiechem. – Powinnaś czytać tekst z ekranu.
- Nie widzę słów – krzyczę na niego z żartobliwą złością. Poprawiam okulary na nosie i opadam na kanapę, obok niego. Piosenka jeszcze się nie skończyła, więc ciskam mikrofonem w jego pierś, sprawiając, że stęka. Jego klatka piersiowa jest taka twarda.
- Chciałabym przesunąć po niej palcami.
- Nie robię tego. Ale chciałabym.
- Twoja kolej. Ja zaśpiewałam już trzy.
- Wybierz piosenkę, którą znam – mówi córce, która nadal śpiewa na całe gardło.
- Śpiewam teraz solo, tatusiu – rzuca i wraca do przerwanej czynności.
- Kręci mi się w głowie – chichoczę, obserwując małą dziewczynkę, która ugina nogi i wyrzaskuje słowa do *Mam tę moc*.
- Wypiłam zdecydowanie za dużo whisky.
- Ja też – zgadza się pan C. Wzrok ma skupiony na córce. – Zwykle nie piję.
- Za dużo pracujesz.
- Śmieje się z niedowierzaniem.
- Ty pracujesz tak samo dużo, co ja.
- Prawda – odpowiadam, czując się swawolnie i luźniej. – Ostatnio może nawet więcej. Nie mogę przestać.
- Przeciąga się, czekając, aż Maria wybierze coś, co będzie mógł zaśpiewać.
- Zamiast tego mała ziewa bardzo głośno i przeciąga się zupełnie jak jej tata.

² Fragmenty pochodzą z piosenki *Wspaniały świat* (tłum. Filip Łobodziński) z filmu *Aladyn* wytwórni Walt Disney Pictures – przyp. red.

Pan C patrzy na zegarek i mruga.

– Ups... lepiej zabiorę ją do domu. Robi się późno.

Prawie czuję się zawiedziona.

– Jeszcze tylko jedna piosenka, tatusiu – błaga dziewczynka, robiąc smutną minkę.

Zerka na mnie kątem oka i wyciąga rękę po mikrofon.

– Nie dzisiaj, Mario. Rose chce iść spać.

– Chcesz przez to powiedzieć, że źle wyglądam?

Śmieje się nerwowo.

– Mam wrażenie, że niezależnie, jak odpowiem na to pytanie, mam szansę dostać w twarz. – Wstaje, przeciąga się ponownie i przykłada telefon do ucha. Więc myśli, że jestem brzydka? Nie, żeby mnie to obchodziło. – Podstaw samochód, będziemy wracać.

– Odprowadzę was – mówię, łapiąc Marię, która rzuca się na mnie i przytula. Chwiejemy się, bo ja jestem nieco wstawiona, a ona dość ciężka. – Bardzo dziękuję, że przyszliście.

– Maria nalegała – odpowiada pan C, drapiąc się w tył głowy. – I tak byliśmy w okolicy z wizytą u rodziny.

– Twojej siostry? – pytam, bo wiem, że mieszka zaledwie kilka domów ode mnie. Przytakuje w odpowiedzi. – Jest miła, lubię ją.

Spotkałam ją kilka razy. Pracują razem, ale ona jest bardziej typem seksownego naukowca. Nie interesuje jej sprzedaż, więc rzadko pracujemy ze sobą. Głównie znam ją z momentów, kiedy przychodzi wyciągnąć brata na lunch, albo gdy kazał mi do niej dzwonić, żeby umówić jakieś spotkanie.

Kłaska językiem i wskazuje kciukiem na drzwi.

– Do zobaczenia jutro w pracy. Wyśpij się. Nie będę cię potrzebował aż do pierwszej.

– Chyba nie wiesz, ile mam do zrobienia. Będę o ósmej, jak zawsze.

– Dobrze, ale tym razem ja przyniosę kawę.

– Nie! – rzucam bez namysłu i kładę dłoń na jego bicepsie, ale szybko ją zabieram, bo łeee. Dotyk dla mężczyzn jest równoznacz-

ny z flirtem... prawda? Nie chcę, żeby pomyślał, że mnie do niego ciągnie. – Nie. Muszę ją przygotować w odpowiedni sposób.

– To tylko kawa.

– Ale jeśli to nie będzie właściwa kawa, zrujnuje mi dzień.

Mruga, patrząc na mnie, i wzdycha, ale wciąż wygląda na zabawionego.

– No dobrze, przynieś kawę. Ale nie mów, że nigdy nie robię dla ciebie nic miłego.

– Gdzieżbym śmiała – odpowiadam.